

Żywot Józefa Łobodowskiego (7)

„Dobrą diagnozę można było otrzymać dopiero w poniedziałek”

Skorzystałem z pobytu w Lublinie p. inż. Jadwigi Ostrowskiej i przeprowadziłem z nią 9 sierpnia 1988 roku, utrwaloną na taśmie magnetofonowej, a obecnie przechowywaną w zbiorach Muzeum im. J. Czechowicza, długą i interesującą o poecie rozmowę.

Rozmowa ta bardzo przybliżyła mi postać Józefa Łobodowskiego i dała poznać życie środowiska emigracji polskiej w Madrycie. Wydaje mi się, że i czytelników powinna zainteresować; przytaczam ją w skrócie.

— Kiedy w jakich okolicznościach poznała pani Łobodowskiego?

— Łobodowski byk w Hiszpanii już od dawna. Ja przyjechałam dopiero w 1963 roku, w czerwcu. Początkowo nie wiedziałam czy w Madrycie są jacyś Polacy, ale pomyślałam sobie, że Polacy są wszędzie, więc i w Madrycie na pewno też są. Kiedy dowiedziałam się, że w pierwsze niedziele miesiąca są msze polskie, poszłam na taką mszę. Było tam około dwudziestu, może trzydziestu osób. Jest tam taki zwyczaj, że zatrzymują się wszyscy po mszy na rozmowę. Więc poznałam Józefa Łobodowskiego, jak i pozostałych Polaków, pod kościołem.

— Łobodowski chodził do kościoła?

— Chodził, oczywiście, chodził...

Wówczas przewodnikiem emigrantów polskich w Madrycie był Stanisław Rylski, który już nie żyje. On wszystkich jednoczył. Był to człowiek nadzwyczajnej dobroci i bardzo towarzyski. Przybył do Madrytu po zdemobilizowaniu z armii Andersa i rozpoczął studia. Było ich tam około stu osób i stąd ta grupa emigracyjna pochodzi. Z wyjątkiem Łobodowskiego, który trafił inną drogą.

— Z Francji.

— Został w Hiszpanii aresztowany i półtora roku przebywał w więzieniu

— A pan Stanisław Rylski kim był z zawodu?

— Buchalterem i pracował w radio.

— Współpracował z rozgłośnią madrycką?

— Tak. Współpracowali z madrycką rozgłośnią i on, i Kazimierz Tytko, i Józef Łobodowski. Ja nie słyszałam nigdy tych audycji. Dowiedziałam się o nadawaniu dopiero w Madrycie...

Pod kościołem powiadomiono mnie, że spotykają się w jakimś „Obelisko”, w restauracji „Obelisko” w piątki. Mnie to bardzo zainteresowało. Okazało się, że mieszkam niedaleko od tego „Obeliska”, więc poszłam tam kiedyś. Rzeczywiście, byli tam wszyscy, których poznałam przed kościołem. Siedzieli przy długim stole zawsze tym samym, który był już dla nich przygotowany. To była średniej klasy restauracyjka, długo otwarta i tam się coś zjadało, dużo piło wina i długo gadało. Rej wodził Lobo, tak go tam wszyscy nazywali. Lobo przewodniczył, a Staś Rylski wszystko organizował.

— **Ile osób skupiało się przy stole?**

— Niedużo. Jakies osiem, dziesięć, kilkanaście, zależy, kto miał czas. Wiadomo było, że tam można po polsku porozmawiać. Ja chodziłam tam regularnie w każdy piątek. Między ósmą a dziewiątą wieczorem wszyscy się schodzili. To były bardzo przyjemne spotkania, Łobodowski żywo w nich uczestniczył. Bardzo często zabierał głos, a że miał głos silny, zagłuszał wszystkich. Jego się tam przede wszystkim słyszało, a on lubił, by go słuchano.

To trwało do śmierci Stanisława Rylskiego, nie, trwało dłużej, do śmierci właściciela restauracji. Potem jego syn zdecydował, że nie warto otwierać jej wieczorami, bo prawie wyłącznie myśmy tam byli jako późni goście.

— **Czy Łobodowski miał jakieś ulubione kafejki, bary, w których stale przebywał?**

— Tak, bar był miejscem jego pracy. Tam przebywał przez cały dzień. Bar znajdował się w pobliżu domu, w którym mieszkała rodzina Tytków. Nie było dnia, żeby u nich nie bywał. Trzymał do chrztu ich najstarszego syna. Żona pana Kazimierza, Hiszpanka miała bardzo dobre serce i opiekowała się nim. Im zawdzięcza bardzo wiele. Łobodowski był czasem trudny, ale pani Tytko z anielską cierpliwością troszczyła się o jego ubranie, czystą bieliznę. Otaczała go opieką domową, rodzinną. Łobodowski mieszkał zawsze w jakimś pensjonacie.

— **Czy własnego domu Łobodowski nie próbował zorganizować?**

— Nie, nigdy nie miał własnego domu. Jego domem był dom państwa Tytków, a pracował cały dzień w barze. O piątej przychodził Rylski i czasami przenosili się z baru do restauracji, gdzie jedli kolację. Przychodził czasem do nich doktor Sokołowski i wspólnie spędzali przyjemne wieczory.

Kiedy przeniosłam się i zadomowiłam w nowym mieszkaniu, skończył się właśnie „Obelisk”. Zapropnowałam żeby Stasio Rylski i Józef Łobodowski przychodzili do mnie.

— **W którym to było roku?**

— Około dziesięć lat temu.

— **I też tylko raz w tygodniu?**

— Raz w tygodniu, w środę. Przychodzili do mnie zawsze we dwóch, czasem ktoś jeszcze. Siedzieliśmy na tarasie, bo ja mam duży taras, na którym latem w ciągu dnia jest zbyt gorąco, ale bardzo przyjemnie wieczorem — i wiele wieczorów tam wspólnie spędziliśmy.

— **Czy samotnictwo Łobodowskiego było programowe? Czy nie usiłował założyć rodziny?**

— On przecież miał żonę.

— **Jak pani sądzi, czy twórczość literacka wypełniała całkowicie życie Łobodowskiego?**

— Myślę, że tak. Bardzo dużo pisał i dużo serca w to wkładał. Felietony wysyłał do Londynu, najpierw do „Wiadomości”, a gdy „Wiadomości” zostały zlikwidowane, to do „Dziennika Polskiego”. Z tym brulionem, który panu przywiozłam, siedział i pisał. Zawsze przy tym samym stoliku. Tam był hałas. Dziwiłam się, jak się można skupić w takim zgiełku, ale jemu to odpowiadało.

— **Pisał w barze, bo w małym pokoiku hotelowym nie miał chyba warunków do pracy literackiej. Na zdjęciu, które mi pani przywiozła, widać, że nie było tam nawet porządnego stołu.**

— Ja tam nigdy nie byłam. Zmieniał pensjonaty, to może kiedyś miał lepsze warunki. Ten ostatni nie był najlepszy.

— **Z czego się utrzymywał?**

— To była sprawa bardzo przykra, bo stale nie miał pieniędzy. Otrzymywał małą pensyjkę z radia, której już mu po zamknięciu polskiej rozgłośni nie musieli płacić, ale utrzymywali to w formie zapomogi. Ponieważ Łobodowski nie był obywatelem hiszpańskim nie miał wielkich praw. Gdyby chciał zdobyć obywatelstwo, miałby lepsze warunki. On jednak powiedział, że tego nigdy nie zrobi.

— **Czy miał jeszcze jakieś honoraria?**

— Otrzymywał honoraria za felietony z „Dziennika Polskiego”, ale przychodziły bardzo nieregularnie. Jako stały adres podawał dom Tylków. Otrzymywał czasem jeszcze honoraria za wieczory autorskie, kiedy wyjeżdżał do Londynu albo do Stanów Zjednoczonych. To jednak bardzo szybko się rozplýwało i on nigdy pieniędzy nie miał.

— **Leżało chyba w naturze Łobodowskiego, że nie szanował pieniędzy?**

— Dużych wydatków nie robił ale lubił komuś zafundować taksówkę, zaprosić na wino.

— **O Łobodowskim krążyły legendy jako o człowieku nie stroniącym od alkoholu. Sam słyszałem taką opowiastkę, nie wiem, czy nie wymyśloną. Podobno w Paryżu po większym alkoholu Łobodowski miał wieczór autorski na drzewie. Wszedł na drzewo i tam recytował swoje wiersze. Policjanci ściągnęli go do komisariatu, a nad ranem cały komisariat pod jego przewodem śpiewał. Oczywiście jest to anegdota, ale chciałem zapytać. Jaki był stosunek Łobodowskiego do alkoholu?**

— Nie był nałogowym alkoholikiem, ale lubił wino bardzo.

— **A silniejsze trunki?**

— Nie, tylko wino. Gdy pisał w barze, to na marmurowym stoliku stała zawsze przed nim szklanka wina; gdy się wino kończyło, to mu dolewali.

— **A stosunek do kręgu znajomych? Pani mówiła, że nie był łatwym człowiekiem. Ktoś nawet napisał do mnie, że nie lubił Łobodowskiego, bo Jego zachowanie było czasem chamskie.**

— Nie powiem, żeby było chamskie, ale był raptus. Tam, w tym „Obelisku”, dochodziło kilka razy do scysji, bo on nie znosił, gdy ktoś miał inne zdanie. Pokłócili się kiedyś o generała Andersa, którego on bardzo cenił.

— **Rozmowy W „Obelisku” czego dotyczyły? Czy spraw Polski, literatury, czy miały charakter towarzyski?**

— Tam było wszystko. Opowiadało się o wszystkim. Każdy przynosił to, co miał ciekawego, począwszy od anegdot przywiezionych z Polski. Czasem też były smutne sprawy.

— **Sprawy polskie były zatem w centrum zainteresowania?**

— Tak. Gdy Polacy przychodzili z hiszpańskimi żonami, to one miały za złe, że nic nie rozumieją. Przechodziliśmy więc na hiszpański, a po pięciu minutach zapominało się i wszyscy znowu mówili po polsku, a one biedne siedziały i nudziły się. Potem nie przychodziły tam w ogóle...

W czasie wakacji, kiedy Tylkowie wyjeżdżali nad Morze Śródziemne, to w wynajętym przez siebie mieszkaniu jeden pokój odstępowali Łobodowskiemu. Tam też pisał wiersze...

Kiedy przychodzili do mnie, to robiłam im polskie potrawy, chłodniki i coś takiego, co im smakowało. On najbardziej lubił pomidorową zupę z ryżem, więc często mu ją robiłam, poza tym lubił wszystkie kluski.

— **Czy w inne dni utrzymywała pani kontakty z Łobodowskim?**

— Chodziłam tam, gdzie wiedziałam, że ich spotkam do jednej czy drugiej restauracyjki, gdzie jadali kolacje. Kiedy Stasio Rylski zachorował na serce i zmarł, to zostaliśmy już tylko oboje. Prosiłam, by przychodził w dalszym ciągu do mnie. Wiedziałam, że często nic wcześniej nie jadł, tylko to, co u mnie. Normalnie chodził na posiłki do maleńkiej chińskiej restauracji, gdzie mu dawano zawsze to samo, jakąś potrawę z kluseczkami, która mu smakowała.

— **A stosunek do kraju?**

— Bardzo się interesował wszystkim, co się dzieje w Polsce. Czytał dokładnie „Kulturę” paryską, którą prenumerował, często „Tygodnik Powszechny” i „Przekrój”.

— **Czy były jeszcze jakieś inne spotkania?**

— Tak. Książd Walorek zapraszał jeszcze do swego mieszkania w czwartki, co drugi czwartek.

— **Czy miały one charakter literacki?**

— Dotyczyły głównie spraw religii i wiary, ale w szerokim aspekcie społecznym i filozoficznym. Czasem pojawiały się tematy literackie i sprawy polskie. Lobo, jak zwykle, często zabierał głos, bo dużo miał do powiedzenia. Zwykle wypowiedź kończył jakąś dykteryjką.

Ostatnie zebranie było siódmego kwietnia. Nic wtedy nie zapowiadało, że Łobodowski zachoruje. Wprawdzie od pewnego czasu wyglądał mizernie, mówił, że źle cię czuje. Pytałam, czy coś go boli. Mówił, że jakoś trudno mu chodzić. Tego dnia przyjechaliśmy razem taksówką. Zawsze braliśmy wspólnie taksówkę, bo to taniej, a mieszkaliśmy blisko siebie. Bardzo przyjemnie bawiliśmy się tego wieczoru. Potem wróciłam z nim do domu. Ja wysiadłam wcześniej przy swoim domu, a on jeszcze jechał jeden blok dalej. Rozstaliśmy się jak zawsze i nic nie zdradzało, że następnego dnia będzie miał dużą gorączkę. Ledwie się dowłókł do tego baru, gdzie zawsze siedział. Przyszedł tam już bardzo blady, ledwo szedł. Właściciele baru, którzy się już z nim bardzo zaprzyjaźnili, zatelefonowali zaraz do mieszkania Tylków. Pana Kazimierza nie było w domu, bo był w biurze. Jego żona przybiegła zaraz z synem i zobaczyła, że on już prawie omdlewa. Niemal przemocą zabrali go taksówką do szpitala. Nie chciał jechać. Wzbraniał się. Jakoś mu wreszcie wyperswadowała, że musi jechać. Nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności był to piątek, potem sobota i niedziela. We wszystkich szpitalach na całym świecie, w całej Europie przynajmniej, nikt nic w tych dniach w szpitalu nie robi. Wszyscy doktorzy znikają. Dobrą diagnozę można było otrzymać dopiero w poniedziałek. Przeprowadzono analizy. Okazało się, że nerki były bardzo zniszczone. Początkowo się wydawało, że to wszystko od nerek pochodzi, ale potem wywiązało się zapalenie płuc. Dali mu jakieś antybiotyki i zrobiło się trochę lepiej. Wstąpiła w nas otucha. Już parę razy był ciężko chory i jakoś się z tego wygrzebywał. Miał silną naturę, która przewyciężała choroby. Tym razem już się to nie udało. Po paru dniach widać było, że jest to sytuacja beznadziejna. Wezwaliśmy do szpitala księdza Walorka, który z nim rozmawiał z pół godziny. Potem go wypowiedział. Następnego dnia Łobodowski przyjął komunię świętą. Ksiądz udzielił mu ostatniego namaszczenia. Lobo jeszcze był wtedy przytomny.

— **Jak pani sądzi, czy samotność dokuczała Łobodowskiemu?**

— Nie robił wrażenia, żeby się czuł osamotniony. Trzymał się zawsze tej samej dzielnicy, w pobliżu domu Tylków. Bar też jest w sąsiedztwie. Codziennie chodził do nich po własną pocztę. Wieczorem pan Kazimierz często przychodził do niego do baru. Popijali razem wino i komentowali aktualne wydarzenia.

— **Czy Łobodowski nie miał zamiaru przenieść się do Paryża albo do Londynu?**

— Często tam jeździł, ale przenieść się tam to nie, bo był bardzo związany z tą rodziną.

— **Czyli związek z rodziną Tylków decydował, że Łobodowski pozostawał w Madrycie?**

— Mam wrażenie, że tak.

— **Czy mogłaby pani jakoś ogólnie scharakteryzować Łobodowskiego?**

— Podziwiałam go za jego ogromne zdolności, talent, za jego pamięć nadzwyczajną. Jeśli nie pamiętało

się jakiegoś wydarzenia historycznego, to tylko do niego trzeba było iść. Był jak encyklopedia. Poza tym lubiłam go i uznawałam. Akceptowałam jego trudny charakter.

— **Na czym polegała ta trudność charakteru?**

— Nie lubił, kiedy ktoś miał inne zdanie. Był czasem gwałtowny. Ostрым językiem potrafił przyciąć. Ujawniało się to nawet na zebraniach u księdza. Były tam takie osoby, które na pewno lubił, ale ostrzył sobie na nich język.

— **To tak, jak w jego publicystyce?**

— Publicystyka była głównym źródłem utrzymania. Wydał czasem jakąś książkę, ale trudno było z tego wyżyć. Dopiero pod koniec jego życia utworzył się w Londynie fundusz, który umożliwiał wydawanie jego książek. Dzięki temu sytuacja materialna może by się inaczej ułożyła.

— **Wróćmy jeszcze do ostatnich chwil poety. Czy miał jakieś życzenia? Czy mówił, by pochować jego prochy w Lublinie?**

— O tym mówił wcześniej przy różnych okazjach.

— **Czy Lublin wspominał często?**

— Tak, bardzo często. Opowiadał, jak się kochał w pięknych Żydóweczkach, jak dawał korepetycje w gimnazjum żeńskim.

— **Dużo, może nawet za dużo jest tych romansów w cyklu powieściowym „Żywot Józefa Zakrzewskiego”. - Jak Łobodowski oceniał swą twórczość prozatorską?**

— Mało było o tym mowy, Myślę, że on się wyżywał przede wszystkim w poezji, nie w prozie.

— **Chciałem jeszcze zapytać o to ostatnie mieszkanie Łobodowskiego. Na zdjęciu widać, że byt to bardzo mały, skromny pokoik. Jakież rękopisy i korespondencję chyba tam przechowywał? Czy zrobiono protokół z likwidacji tego, mieszkania?**

— Tam nie było żadnych cennych rękopisów.

— **A co on ze swoimi rękopisami robił? Niszczył je?**

— Część rękopisów zabrał jego wydawca do Paryża. Nie wiem, może Łobodowski zniszczył inne rękopisy. Nie lubił ich przechowywać.

— **A korespondencja?**

— Przenosił się kilka razy i na pewno przy tej okazji niszczył. Przenosił się, bo miał długi w pensjonacie i musiał miejsce zmieniać. Ostatnio myśmy się składali, żeby przynajmniej pensjonat był zapłacony, żeby nie wisiało nad jego głową, że musi wyprowadzać się natychmiast. Książek też nie gromadził, a te, które się zebrały, w czasie przeprowadzki pozostawiał u swoich znajomych. U mnie w piwnicy też są jakieś kartony z jego książkami...